NUMER 51. DNIA 21-go GRUDNIA 1902 ROKU ROK X

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

Bronisław Szwarce

(SYLWETKA JUBILEUSZOWA).

W nocy na 22 grudnia 1862 była ulica Widok w Warszawie widownią zwykłej na owe czasy sceny. W bramie jednego z domów zaświeciły kaski żandarmskie, na przerażonych mieszkańców padł popłoch, ale siepacze carscy połów mieli obfity, bo jakkolwiek drukarni tajnej nie odkryli, to jednak drukarz wpadł w ich ręce i cały materjał drukarski.

Wśród wrzasku i gwałtu wydarła się tymczasem z owego pilnie strzeżonego domu postać jakaś czarna, i pobiegła szybko przed siebie, widocznie, aby jak najdalej znaleźć się od miejsca, nad którem nieszczęście zawisło i groza. — Czujne oko żandarmskie dostrzegło jednak uciekający cień i rozpoczęła się natychmiast kilkugodzinna, a zaciekła obława. Człowiek on ogromny, czarno zarosły uciekał z ulicy na ulicę, dobywając ostatka sił. Czasem wpadał na chwilę do domu jakiegoś, zostawiając tajemnicze przedmioty, czasami szmaty rozdzieranego papieru ślad jego znaczyły — a on biegł i biegł przed siebie, za nim zaś w tropy tentent żandarmów zdyszanych i rozwścieklonych...



Bronisław Szwarce — według współczesnej fotografji.

Dobiegli w ten sposób, aż na Powiśle. — Człowiekowi onemu ciężki spadł kamień z serca, bo oto papiery i inne spiskowe dokumenty w bezpiecznem się już znalazły ukryciu. Więc z bronią w ręku stanął w czoło żandarmom, zdecydowany bronić się aż do krwi kropli ostatniej. Ale się przemocy nie obronił. Schwytany żywcem, jeszcze tej samej nocy znalazł się w cytadeli warszawskiej, w rękach wszechwładnej Rosji, z których się miał wydostać dopiero za... *lat dwadzieścia dziewięć*!

Człowiekiem, który ową straszną przebył noc grudniową, jest żyjący obecnie między nami p. Bronisław Szwarce. Dziś mija czterdzieści lat od czasu jego aresztowania, a tę właśnie rocznicę postanowiło grono jego przyjaciół i wielbicieli uczcić skromnym obchodem jubileuszowym.

Czyż może być piękniejszy jubileusz, piękniejsza zasługa, niż to dwudziestodziewięcioletnie

cierpienie? Któż czoła nie ugnie przed tym starcem wyniosłym, a ukochanym, którego te straszne lata ugiąć nie zdołały, ani mu serca gołębiego odjąć, ani owej młodzieńczej, beztroskliwej wesołości, co wszystkie burze żywota przetrwawszy, pozostała mu zawsze nadzieją, i promieniem jasnych oczu, patrzących na świat tak poczciwie, a tak zawsze pogodnie i serdecznie.

Bardziej pracowitego i bardziej rewolucyjnego żywota, niż ten, który za sobą p. Bronisław Szwarce zostawił, wymarzyć chyba nie podobna. Aż postać ta cała w olbrzymie urasta kształty, aż się dzisiejszym pigmejom wielkoludem jakimś wydaje, olbrzymem, którego w czasach dzisiejszych już niespotkać, chyba w fantazji poety, lub w rozpalonym mózgu historyka, w stare wpatrzonego czasy.

Taka to już widać puścizna po przodkach dostała się panu Szwarcemu. Dziadek znojem Maciejowic strudzony usnął, ojciec, Józef Szwarce, patron trybunału mazowieckiego, w czasie powstania listopadowego był najskrajniejszym rewolucjonistą, jednym z tych, którzy nocy belwederskiej uzbrajali lud warszawski bronią z arsenału dobytą. Nie miała też Rosja po upadku powstania innej dla niego nagrody, jak karę śmierci. Uniknął jej jednak ś. p. Józef i poszedł razem z innymi na emigrację do Francji. Niespokojny duch jego nie przestał jednak marzyć i tu o odrodzeniu Polski, przy pomocy powszechnej rewolucji, a to w sposób, nawet dla rządu francuskiego niebezpieczny. Ostatecznie za udział w nieudałej wyprawie Mazziniego na Frankfurt internowany został ś. p. Józef przez rząd francuski w dalekiej Bretonji i tu w miejscowości L o c h r i s t, departamentu *Cote du Nord* ujrzał w r. 1834 światło dzienne Bronisław Szwarce.

W r. 1844 przeniósł się wraz z rodzicami do Paryża, gdzie, jako student francuskiego pensjonatu prywatnego, odbierał dalsze wykształcenie. W r. 1848 gorąca krew rewolucyjna, odziedziczona po ojcu, wygnała czternastoletniego wyrostka na barykady. — P. Bronisław Szwarce bez czapki i w pantoflach biegł w czasie lutowej rewolucji wraz z ludem paryskim, z nim razem stawał na barykadzie i z nim wreszcie dotarł aż do wnętrza Tuilljerów. W kilka dni później, dnia 24 lutego stracił ojca a w czasie strzelaniny czerwcowej w Paryżu w r. 1848 znowu się w wielkiem znajdował niebezpieczeństwie.

Dalsze wypadki skierowały p. Bronisława Szwarcego na drogę normalnych studjów. W r. 1852 ukończył ze stopniem licencjata szkołę średnią, w r. 1855 centralną szkołę inżynierską (*Ecole generale*) w Paryżu z dyplomem inżynierskim, poczem przeniósł się do Wiednia, gdzie jako inżynier zatrudniony był przez dwa lata przy budowie nowych linji kolejowych. Tutaj zapoznał się na gruncie rewolucyjnych konspiracji z drem Kubalą i przedstawicielami młodzieży czeskiej, poczem miał zamiar przenieść się do Petersburga, również w charakterze inżyniera kolejowego. Rząd jednak rosyjski odmówił mu z niewiadomych powodów zatwierdzenia paszportu, tak że tylko dzięki osobistym wpływom opiekuna swojego, Mireckiego otrzymał p. Bronisław Szwarce w r. 1859 pozwolenie na pobyt w Warszawie. W r. 1860 zatrudniony był on przy budowie linji kolejowej w Białymstoku. Obok prac zawodowych nie zaniedbywał p. Szwarce konspiracji politycznych, które, po wypadkach lutowych w Warszawie, objęły gęstą siecią cały kraj. Wypadki te zastały p. Szwarcego w Petersburgu, dokąd się był udał jako tłumacz. Wróciwszy do Białegostoku rozpoczął wydawnictwo tajnego pisma w języku białoruskim pt. „*Chutorka* (gawęda) *staroho dieda*“. Zwrócił tem na siebie podejrzenie rządu rosyjskiego, tak że musiał czemprędzej uciekać do Warszawy, gdzie dopiero naprawdę wpadł w wir przedpowstańczych agitacji. Przedewszystkiem wstąpił do k o m i t e t u c e n t r a l n e g o, który niezależnie od organizacji Mierosławczyków, stanowił wówczas rząd narodowy. Z początkiem roku 1862 stanął p. Szwarce razem z Agatonem Gillerem, Władysławem Koskowskim, Daniłowskim, Jarosławem Dąbrowskim, Wernickim i Witołdem Marczewskim na czele tegoż komitetu centralnego i mimo zmian jakie w komitecie w ciągu roku zaszły, pozostał w nim aż do końca. Z początkiem grudnia bawił p. Szwarce w Krakowie, gdzie wspólnie z Ludwikiem Kubalą przeprowadził organizację Galicji na wypadek powstania.

Nie mając najmniejszego przeczucia o mającym rychło nastąpić ruchu zbrojnym, tem bardziej, że komitet centralny uchwalił rozpocząć powstanie z wiosną roku 1863, a narazie wobec grożącej branki Wielopolskiego przeprowadzał dyslokację młodzieży warszawskiej po prowincji, zajmował się p. Szwarce spokojnie dalszą orga-

nizacją, gdy w tem dnia 22 grudnia został jak najniespodziewaniej aresztowany.

Moskwa nie domyślała się początkowo kim był więzień, tembardziej, że odmawiał on wszelkich wyjaśnień, wiedząc, że jako schwytany z bronią w ręku niechybnie zostanie na śmierć skazany. Z drugiej strony w razie stwierdzenia tożsamości osoby, czekała go również śmierć, gdyż rząd rosyjski nałożył był jeszcze przedtem cenę na jego głowę. W takiej sytuacji dowiedział się p. Bronisław Szwarce w cytadeli o wybuchu powstania. Tymczasem żandarmerja nie wiadomo na jakiej podstawie doszła do przekonania, że musi on być Józefem Szwarcem, skazanym na śmierć w r. 1831. Pomyłkę spostrzeżono później, gdy sam Bronisław zeznał kim jest właściwie, tak że odtąd śledztwo, prowadzone przez żandarma Tuchołkę, poszło raźniejszem tępem i zakończyło się dnia 13. maja 1863 skazaniem Bronisława Szwarcego na śmierć przez powieszenie. Skazańca przeniesiono do osobnej celi i kazano mu się przygotować na szubienicę. Począwszy od 16. maja trwały te przygotowania przez całe dwa tygodnie. Codziennie odwiedzał go pastor Dühl (p. Szwarce jest bowiem protestantem) i codziennie dysponował go na śmierć, która mimo to nie nadchodziła. Można sobie wyobrazić co za chwile przechodził skazaniec przez cały ten czas, ale mimo to nie upadł na duchu i jak sam obecnie z pogodnym uśmiechem opowiada, codziennie rano był bardzo przyjemnie zdziwiony, czując jeszcze głowę na karku. Ostatecznie po dwu tygodniach oznajmiono mu, że został „ułaskawiony" i skazany na całe życie do robót w kopalniach nerczyńskich. Dnia 13. czerwca wywieziono go z Warszawy, w dwa dni poźniej znajdował się p. Szwarce już w Wilnie, poczem na Petersburg, Moskwę, niżny Nowgorod, Kazań odwieziono go wraz z innymi wygnańcami do Permy. Z Permy transport poszedł dalej, a p. Szwarcego zwrócono z drogi bez podania bliższych powodów napowrót do Petersburga, poczem 6 lipca 1863 osadzono go w silnej twierdzy, grobie dla żywych, Szlysselburgu nad Ładogą.

Tutaj w zupełnie odosobnionej celi, jako więzień szczególnie „niebezpieczny" siedział p. Szwarce pełnych lat siedm, aż go wreszcie w r. 1870, ze względów na zdrowie podupadłe przeniesiono do Turkestanu. Opis swojego więzienia w Szlysselburgu i usiłowania ucieczki opisał p. Szwarce dokładnie, w wydanej przed kilku laty książeczce p. t. „Siedm lat w Szlysselburgu". Opis to przerażający ponurą grozą i niewysłowionymi męki, a jednak traktuje go p. Szwarce dobrodusznie i z takim pogodnym optymizmem, że aż dziw skąd się nabrać może w człowieku tyle żelaznego charakteru i woli tyle, która nie tylko, że nie pozwalała mu się ugiąć, ale jeszcze beztroskliwie i wesoło przyjmowała wszystkie męczarnie i najprzeróżniejsze szykany. Towarzysze więzienia z cel sąsiednich dostawali pomieszania zmysłów, a p. Szwarce wytrwał i doczekał się bez prośby i błagań tej chwili, kiedy sam rząd rosyjski przeniósł go dla poratowania zniszczonego zdrowia na dalekie, choć nie mniej straszne wygnanie.

Obawiając się jednak ucieczki, zesłał rząd rosyjski później p. Szwarcego do Tomska. Ale i tu nie zrezygnował „uparty człowiek" z nadzieji wywołania jakiegoś ruchu zbrojnego a przynajmniej ucieczki. W tym celu wziął udział w tajnej organizacji t. z. „Narodnej woli". Rząd rosyjski odkrył jednak nici spisku, p. Szwarce dostał się wraz z innymi do więzienia, a po odsiedzeniu kary zesłany został w r. 1884 do Irkucka, a stamtąd w drodze administracyjnej zsyłki do Tunki. W roku 1890 wydalony został wreszcie z granic Wszechrosji. W lipcu 1891 wyjechał z Tunki w marcu 1892 znalazł się w Krakowie, gdzie znalazł chwilowy przytułek w redakcji „*Nowej Reformy*", a następnie posadę skromną urzędnika w biurze solnem Wydziału Krajowego we Lwowie.

Od tego czasu żyje p. Bronisław Szwarce między nami we Lwowie, ciesząc się ogólną sympatją w najszerszych kołach naszego społeczeństwa, dla swoich szczerze demokratycznych i postępowych zasad, jak nie mniej ujmującej słodyczy, która go w stosunkach z ludźmi zawsze cechuje. Wyrazem tej powszechnej sympatji i uwielbienia dla „rewolucjonisty z krwi i kości" jest dzisiejszy obchód jubileuszowy, który zainicjowała młodzież akademicka. *Fr. Jaw.*

*Nad opłatkiem.**)

Ach, leć, opłatku, leć!
Do ukochanych dąż,
Życzeniem wiarę nieć,
Braterstwem duchy zwiąż.

Tęsknotą do nich mów,
Do piersi ich się tul,
I zdjąwszy cierń z ich głów,
Współczuciem wieńcz ich ból.

Modlitwy w hymny spleć,
Jak Anioł stróż ich dróg,
Błogosławieństwem świeć:
Niech im da szczęście Bóg!

Przejdź tak nasz cały kraj, —
O przejdź go wzdłuż i wszerz —
I wszystkim wiarę daj —
I wszędzie jedność szerz...

I przejdź tak cały świat
I bóle z niego zwlecz, —
Dla braci bądź, jak brat,
Dla wrogów bądź, jak miecz.

A dąż, gdzie łzy, gdzie krew,
Gdzie jęk — gdzie zgrzyt, gdzie noc,
I głoś zbawienia siew,
I nieś miłości moc!!!

*) Z teki pośmiertnej uczestnika powstania 1863 r. i wygnańca, Stanisława Miaskowskiego zmarłego w bardzo młodym wieku — bo w 27. roku życia. Wiersz przysłany był przez autora rodzinie w r. 1864 w liście wraz z opłatkiem — z miasteczka Sterlitamak w gubernji Orenburskiej — na Wołyń, skąd autor był rodem.

IWAN WAZOW.

GWIAZDA

(Legenda wschodnia).

Przełożyła z bułgarskiego Józefa z Zagórowskich Anc.

Zdala od rozległych równin Mezopotamji, na południe od Libanu, pewnej jasnej nocy, gdy niebo zasiane było błyszczącemi gwiazdami, które drżały, jak żywe brylanty, wśród ciszy uśpionego swiata, zabłysła niespodzianie nowa gwiazda.

Gwiazda ta, której dotąd żadne ludzkie oko nie widziało, była jasną, wielką, promienną gwiazdą, na podobieństwo małego słońca, jej silny blask przyćmiewał sąsiednie gwiazdy, drgające na sklepieniu niebios.

I gwiazda ta ukazała się na zachodzie.

Ludzie, którzy ją spostrzegli, zadziwili się. a wieść o jej pojawieniu rozniosła się szybko po wszystkich miastach i siołach państwa. I wszyscy to podziwiali i pytali się, co wróży ten znak niebieski.

I nikt, nic nie wiedział.

Piątej nocy wieść o cudownej gwieździe doszła do uszów trzech znakomitych i sławnych mędrców w Chaldei, ludzi biegłych w księgach, którzy umieli patrzeć w przyszłość i czytać w zakrytych jej tajnikach.

Ci gdy zobaczyli tę gwiazdę, zadziwili się bardzo i zaniepokoili. Żaden bowiem z nich nie mógł, pomimo głębokiej swej mądrości, odgadnąć co zapowiada światu, to nowe światło niebieskie. I mówili oni pomiędzy sobą:

— Przejrzyjmy stare księgi proroków. Może w nich jest coś napisanego o tem niebieskiem zjawisku.

I zabrali się z wielką pilnością do przeglądania starej mądrości dokumentów, napisanych na papyrusie i zajęczych skórach.

Trzy dni i trzy noce mędrcy zatapiali się w pismach proroków, czytali je, wyjaśniali, chcąc znaleźć odpowiedź pożądaną.

Aż na schyłku trzeciej nocy, mędrcy wydali okrzyk wielkiej radości, bo znaleźli w księgach przepowiednię tej cudownej gwiazdy.

Dawne proroctwo przepowiadało, że przyjdą nowe czasy, gdy na zachodzie w ziemi Judzkiej, narodzi się król. A znakiem jego narodzin będzie nowa, świetna gwiazda, która zejdzie na zachodzie, wprost nad miejscem narodzin nowego króla.

I zaczęli rozmawiać pomiędzy sobą mędrcy. A pierwszy z nich rzekł:

— Żaden król dotąd pomiędzy ludźmi nie był zapowiedziany przez podobną gwiazdę. Wielcy królowie ziemi panowali i rozkazywali, a ich pojawienie się, nie było zapowiadane podobnem cudownem zjawiskiem. Bez wątpienia, nowy król będzie większym od Wielkiego Sezostrysa, którego sława rozbrzmiewała od stubramnych Teb, nad błogosławionym Nilem, aż do wierzchołków Libanu, pokrytych wysokimi cedrami; on będzie potężniejszym od wszechmocnego Cyrusa, który zaciężył prawicą swoją nad wszystkiemi ziemiami i królestwami leżącemi pomiędzy Morzem Zachodniem a falami Ciepłego Oceanu na wschodzie; i od Aleksandra Macedońskiego, który swoim zwycięzkim mieczem rozpostarł swe panowanie od śnieżnych szczytów Tracji, aż do źródeł świętego Gangesu.

Drugi mędrzec rzekł stroskany:

— Drżyj, nieszczęśliwa ziemio, bo straszny zdobywca dziś się rodzi! Pola twoje będą znowu pokryte ludzkimi trupami, a twoje rzeki i przejrzyste potoki zobaczą fale swoje czerwonemi od krwi ludzkiej i nigdy dotąd tyle płaczu i łkania nie wzbiło się ku niebiosom!

Trzeci mędrzec dodał:

— Błogosławione niech będą nasze białe włosy, bo one są dla nas radosnym znakiem i nadzieją, że nie dożyjemy tych strasznych dni, kiedy to dziś narodzony silny król wyrośnie i zmężnieje a cięciem swej szabli pokryje ziemię krwawymi trupami, zgliszczami, pożarami, łzami i rozpaczą. Albowiem wszelka sława królewska wznosi się na ruinach, a wszelkie zwycięztwo okupuje się obrzydliwością spustoszenia.

Wtedy wszyscy trzej mędrcy rzekli:

— Szczęśliwiśmy, że nie dożyjemy tego dnia strasznego.

Potem mówili o imieniu nowego króla i pożądali koniecznie poznać imię nowego zdobywcy ziemi, który ją ma pokryć krwią i gruzami.

Więc znowu szukali, i znaleźli tajemnicze znaki w księdze mądrości. Utrudzili się bardzo zanim odgadli tajemniczą treść tych znaków.

Wreszcie ze zdumieniem odkryli, że imię nowego króla będzie:

Miłość!

I zadziwili się wielce magowie, a serca ich się rozradowały, bo znikły wszystkie ich lęki o losy ludzkości.

Wtedy rzekli:

— Błogosławieni jesteśmy, trzykrotnie błogosławieni, żeśmy doczekali narodzin króla Miłości. Pójdźmy i oddajmy mu pokłon, a gwiazda ta nas do Niego zawiedzie.

I trzej magowie z posiwiałemi brodami wzięli z sobą najwonniejsze kadzidła, myrrę i złoto, aby je złożyć w ofierze przy kolebce dobrego króla, i skierowali swe kroki ku górom Libanu.

A gwiazda szła przed nimi, pokazując im drogę.

Zaludnienie i własność ziemska

w Polsce wieku XVI.

(Dokończenie.

Zupełnie inaczej, niż w Wielkopolsce, ukształtowały się stosunki ekonomiczne i społeczne w M a ł o p o l s c e. Obszar Małopolski wynosił 1046 mil kwadratowych, liczba parafii 1922, miast 205, liczba łanów kmiecych do 28.000. Ilość wsi ogółem 5400. W niektórych powiatach wypadało po 10 wsi na jedną milę kwadratową. Liczba ludności wiejskiej, to jest na wsi mieszkającej, wynosiła okrągło 500.000, ludności miejskiej 172.000. Co do stosunków własności ziemskiej, to d ó b r k r ó l e w s k i c h było tu znacznie więcej, niż w Wielkopolsce, do króla bowiem należało tutaj 469 wsi. Natomiast w ł a s n o ś ć d u c h o w n a była wprost olbrzymia. Do duchowieństwa należało w Małopolsce 772 wsi, 83 części wioskowych i 125 miast. Sam biskup krakowski posiadał 230 wsi, kapituła krakowska 46 wsi, co razem obejmowało 60 mil kwadratowych, a więc wielkie już państwo. — Zauważyć się daje w Małopolsce także znacznie lepsze udotowanie duchowieństwa zakonnego, w porównaniu z Wielkopolską. Opactwo tynieckie posiadało 40 wsi, tyleż Klaryski w Starym Sączu, Bożogrobcy w Miechowie posiadali 42 wsi. Dobra duchowne jak z jednej strony położone są w pobliżu katedry, tak znowu ze strony drugiej całe ich klucze położone są na granicach kraju. — Były to darowizny królewskie na rzecz duchowieństwa obszarów pustych i niezaludnionych, które toż duchowieństwo własną siłą ekonomiczną kolonizowało i uprawiało.

We w ł a s n o ś c i s z l a c h e c k i e j widnieje w przeciwieństwie do Wielkopolski na całej linji przewaga wielkiej własności, latifundiów. — Rody magnackie posiadają przeciętnie po 30 do 40 wsi a między nimi Konstanty Ostrogski 80 wsi, Jordanowie (założyciele miasteczka Jordanów) 33 wsi, Zborowscy 30 wsi, Komorowscy 29, Szafrańce 22, Tarłowie 19, Mniszkowie 18, Lanckorońscy 10 wsi. — Ta, w przeciwieństwie do Wielkopolski, koncetracja rodów magnackich w Małopolsce i to rodów historycznych, stanowi charakterystyczną cechę tej dzielnicy. Przeszło 40 procent wszystkiej ziemi, to jest 2000 wsi znalazło się tam w rękach magnatów, kościoła, bogatszej szlachty i wogóle większej własności. Reszta zaś 60 procent ziemi podzieloną była między własność szlachecką średnią o 3 do 4 wsiach i uboższej szlachty, siedzącej na jednej tylko wsi.

D r o b n o s z l a c h e c k i c h p o s i a d ł o ś c i było w Małopolsce bardzo mało, głównie zaś reprezentowaną była ta posiadłość w Lubelskiem. Była to przeważnie szlachta zagonowa, kupiąca się przeważnie w pobliżu grodów, podczas gdy wielka własność koncetruje się głównie na kresach, co znowu tłumaczy się darowiznami królewskimi, z których wykroiły się te olbrzymie latifundja.

Zupełnie odmienny od poprzednich typ własności ziemskiej i stosunków spółecznych tworzyło w XVI wieku M a z o w s z e. Było ono przedewszystkiem pod względem obszaru znacznie mniejsze od Wielkopolski lub Małopolski, bo obejmowało wszystkiego 570 mil kwadratowych. Na tej przestrzeni leżały, jak wiadomo, województwa mazowieckie, rawskie i płockie. Pomimo jednakowoż znacznie szczuplejszej przestrzeni zawierało Mazowsze 6000 wsi a więc stosunkowo znacznie więcej, niż Małopolska, lub Wielkopolska. Ilość łanów kmiecych wynosiła 23.000, szlachta zagrodowa zaś posiadała łanów 12.031, a więc stosunkowo do innych dzielnic bardzo dużo. — Wogóle charakterystyczną cechą Mazowsza, była szlachta zagonowa, tak że niektóre powiaty były wyłącznie przez nią zamieszkałe. Ogólna suma ludności wynosiła 525.000 dusz

a parafii 446. Jestto również bardzo ciekawy objaw ta mała w porównaniu do Wielkopolski liczba parafij. — Podczas bowiem gdy w Wielkopolsce każda prawie wieś tworzyla osobną dla siebie parafję, to na Mazowszu po kilka wsi stanowiło dopiero parafję.

Co się tyczy stosunków własności ziemskiej to i tutaj dóbr królewskich było bardzo mało. — Tłumaczy się tu podobnie jak w Wielkopolsce rozdrobnieniem Mazowsza w czasach piastowskich na drobne ksiąstewka. Wogóle posiadał skarb królewski na Mazowszu 262 wsi, skupionych przeważnie koło grodów, a ponadto obszerne kolonie w lesistych puszczach mazowieckich. Duchowieństwo posiadało 500 wsi, z czego samo tylko biskupstwo płockie 232; posiadał tu także olbrzymie dobra arcybiskup gnieźnieński a mianowicie klucze łowicki i skierniewicki, obejmujące 123 wsi. Wogóle, tak samo jak w Małopolsce rdzeń posiadłości kościelnych leżał na granicach Polski i wykrojony był z pustkowi i niezaludnionych obszarów królewskich.

Co się tyczy własności szlacneckiej, to dominującym typem na Mazowszu była drobna własność, rozdrabiana coraz bardziej na jeszcze drobniejsze atomy gospodarskie. Największe rody mazowieckie posiadały po 5 do 6 folwarków. Każda bowiem wieś podzielona była na folwarki, liczące od jednego do pięciu kmieci. W każdej wsi siedziało kilku szlachciców. — Szlachta zagonowa posiadała wielką stosunkowo ilość 12.000 łanów a rozmieszczenie jej było bardzo charakterystyczne.

Jej posiadłości, wyznaczone na mapie, stanowią całe pasma i linie zaścianków, rozmieszczonych przeważnie wzdłuż prawego brzegu Wisły. Wytłumaczenie tego zjawiska jest bardzo łatwe, gdy się zważy, że tędy szła granica ku wrogom Polski: Prusom, Jadźwingom i t. d. Dla obrony więc granic osadzoną tu była drobna szlachta w dobrach królewskich. Szlachta ta nierozszerzała się wcale, gdyż ziemi jej nie przybywało, a nadto rzemiosłem wojennem zajęta na owem, niejako pograniczu wojskowem, na gospodarkę nie miała czasu. To też ta drobna własność szlachecka rozdrabniała się coraz to bardziej, aż wreszcie nie zdoławszy się utrzymać pożartą została przez latifundia, a cała ta szlachta stała się bezrolną.

Na tem zakończył dr. Winiarz swój zajmujący wykład, za który zgromadzeni licznymi oklaskami i przez usta przewodniczącego prof. Ochenkowskiego gorąco mu podziękowali.

29)

Dzieje mieszkań ludowych w Polsce.

STUDJUM HISTORYCZNO-PORÓWNAWCZE.

Natomiast zupełnie osobny dział stanowią budowle palowe, które w najrzadszej liczbie znajdują się na tym ostatnim schodzie ku północnemu morzu, jaki stanowi Połabie, Pomorze, część Wielkopolski i Prusy wschodnie i zachodnie.

Odmienność ich jest tak widoczną, że, jak już cytowaliśmy, prof. Virchow, nie waha się ani chwili związać ich i jako „słowiańsko-inflanckich“ przeciwstawić szwajcarsko-południowo-niemieckim i włosko węgierskim grupom“. Ale nie-

tylko układ mieszkań, ale cały typ kultury wyrażony w kształcie i zdobnictwie najpospolitszego naczynia, jakim jest gliniany garnek (urna), jest odrębny, że Wirchow daje im nawet nazwę stałą „typu grodziszczowego“ (Burgwalltypus). Wszędzie czy na dnie osad palowych, czy wśród nasypisk grodziszczowych, czy w mogiłach ciałopalnych, zjawia się to jednakie w kształcie, w ozdobie i w wykonaniu naczynie, będące wskaźnikiem kulturalnym dla starożytników-badaczy. Pan E. Friedel, mówiąc o domkowej urnie z Gandowa koło Przegnicy tak o tem powiada. „Dział grobów łużyckich, które się od pomorskich brzegów morza północnego aż do Rosji(?), Węgier rozciąga, jest na wskróś familijnem podobieństwem związany, którego nikt zaprzeczyć nie może, a chociaż ta i owa forma naczynia w wielkich granicach jednostajnej techniki jest umiejscowioną, to mimo to najczęściej panuje *forma skończona, rękodzielnicza zgrabność w dokonaniu.* Zaś na zachodzie w Meklemburgji, Przegnicy, Hanowerze i Holsztynie panuje indywidualizm, który wskazuje na różnice plemienne: Wykonanie germańskich naczyń glinianych, jest surowsze, niż urn rodzaju słowiańskiego. Muszę wyznać że na tak olbrzymie przestrzenie rozszerzona sztuka keramiczna jest dla mnie niezrozumiała, dziwię się sławianofilom, że nie wyzyskali jeszcze tego, że tubylczość słowiańskiej rasy, kryje się razem z tą kulturą terytorjalnie i że słowiańskie siedziby na podstawie naczyń glinianych aż po Berlin sięgają“. (Zeit. f. Ethnohl. XVII. ver. 167). Doniosłe to wyznanie uczonego niemieckiego nabiera jeszcze tem wyrazistszej barwy, jeśli je zastawimy z tem co prof. Wirchow mówi o niemieckiej kulturze na słowiańskich ziemiach. „Czy w Niemczech Germanowie mieli swoje siedziby, czy jaki inny lud, jest to sprawa, o której w tej chwili ciężko mówić, ponieważ nie mamy, w ściślejszem znaczeniu tego słowa germańskich sprzętów, nie możemy ani **jednej formy** jako typowo **germańskiej określić**, a na wskróś jest dowolnem, jak to teraz u nas (Niemców modą jest), wszystko co przedsłowiańskie w krótkiej drodze uważać za germańskie. Szczególnie nasi przyjaciele w Łużycach, wżyli się w myśl, wszystko co przedsłowiańskie bez namysłu nazywać germańskiem, tak że uważam za wskazane wyraźnie na to zwrócić uwagę, że tego rodzaju postępowanie jest dowolnem“. (Zeit. f. Ethnol. XVI. Ab. 209). Kiedy więc starożytność kultury północno-zachodnio słowiańskiej, która potrafiła na tak wielkich przestrzeniach wyrobić w sobie styl, charakter odrębny i wyższą od niemieckiej rękodzielniczą technikę, nie ulega najmniejszej wątpliwości, to „indywidualność“ zabytków niby-germańskich jest tak nieokreśloną, że „w ściślejszem znaczeniu tego słowa, nie ma ani jednej formy typowo-germańskiej“ wedle niepodejrzanego świadectwa Wirchowa i Friedla.

Odkładając wnioski ztąd płynące do osobnego rozdziału, poświęconego kulturze dawnych Słowian, omówimy na podstawie dotychczasowo zdobytych przez nas sądów, materjał dostarczony przez badaczy starożytników w zakresie mieszkań palowych, które bez omyłki żadnej, jak to obaczymy, polskiemi nazwać możemy. Rzecz jasna że dotyczą ona okresu w większej części żelaznego i w wielu wypadkach, o bliższe już nam dzieje zaczepiają. Wirchow tak się w tej materji wyraża „Podczas kiedy my na północy niemało mamy palowych budowli, które jako słowiańskie uważamy i do późnych czasów zaliczamy, odpadają całe środkowe Niemcy i dopiero w południowych Niemczech poczyna się sfera nowych, ale już zupełnie innych budowli. (Zeit. für. Ethnol. XVI. ver. 212). Mimo to mamy w jeziorach mazurskich przechowane budowle palowe, które razem z badanemi przez dr. Haydecka sięgają kamiennej i bronzowej epoki, a zasadniczą konstrukcją podobne są do najpóźniejszych. „W jeziorze Szonstag, koło Łęgu (Lyck) 1/4 mili na północ od stacji kolejowej Jucha obniżyła się powierzchnia wody przed 20 laty o 1·5 metra, od tego czasu na północnym krańcu wsi Szczecinowo, (na wschodnim brzegu jeziora) ukazała się mała budowla palowa 13 m. szeroka 15 długa w jakiej 1—2m. głębokości, składająca się z paki, sięgającej od dna aż do powierzchni jeziora, uczynionej z krzyżowo związanych i uwarstwowionych poziomo drzew, które prostopadłymi (dokładniej krzywozałożonymi) 17 do 23 ctm. grubymi, dobrze zaostrzonymi palami dębowymi i świerkowymi były ujęte. Pale te albo pojedyńczo albo podwójnie lub potrójnie ustawiano. Poziome warstwy są z cieńszych miękkich drzew

jako brzozy, olchy i wierzby wyprowadzone. Na dnie znaleziono 3 młoty krzemienne, z nich jeden gładzony, 14 nożów krzemiennych, bronzową okrągłą tarczę, zęby bobrze, prócz tego, wiele pół wypalonych kawałków gliny z odciskami drzewnemi na miejscach ogniem wylizanych... Prócz kości zwierzęcych, liczne łupiny orzechów laskowych, brak zboża. Nehring określił tak kości zwierzęce. Był tam pies, świnia torfowa, koza, owca, koń, dalej lis, żbik, wydra, niedźwiedź, bóbr, zając, dzik, bizon, jeleń, sarna, tur i cietrzew. Dr. Heydeck sądzi, że ta palowa budowla musi być bardzo starą, próby okazały że je bronzowemi siekierami obrabiano. Dr. Heydeck uważa je za współczesne z szwajcarskiemi budowlami, Virchow jako nieco późniejsze... To samo odnosi się do budowli palowej w jeziorze Zulewskiem na wschód od jeziora Arys. Budowla ta podobna jest zupełnie w założeniu do tej z jeziora Arys i Szonstag. Zobaczymy później, że aż do najnowszych czasów zasadniczy układ drzewa się nie zmienił, tak że technika budowlana tej gałęzi tubylczych osiadłych przodków naszych w zasadzie do dziś pozostała tasama. (Zeit. f. Ethnol. XX. 428).

Nim przejdziemy jednak do terytorjalnie umiejscowionego zagadnienia, którego ważności dla początków dziejowych naszego narodu dowiodę później — wspomnę jeszcze o palowych mieszkaniach najnowszej doby na Polesiu, nad Prypecią i Berezyną i w rądlu Dnieprowym.

Te ruskie palowe mieszkania usprawiedliwione zupełnie ówczesnymi stosunkami fizycznymi Polesia i Ukrainy, tłumaczą nazwę Polesia (pleso-ploso-jezioro) i Polan (którzy wedle Nestora „siedli przy Dnieprze“,) jako kraju i ludu imionami do klanu palowego należących. Tyle na razie, jako przygrywka do późniejszego rozwiązania. Zacznijmy od Pomorza, graniczącego o miedzę z Połabiem, do którego prof. Piekosiński ojczyznę twórców państwa polskiego odnosi. Hartmann w pracy przez nas już cytowanej „o palowych mieszkaniach“, wspomina o budowli palowej „w jeziorze Persyńskiem, liczącej przeszło 400 pali, zaopatrzone utwierdzeniem częstokołem. Według niego „słowiański Szczecin również był na palach zbudowany.“ Koło stolicy Kaszubów, Koszalina, znaleziono w Liptowskiem jeziorze budowlę palową“. (Zeit. f. Etnohl. II. 3.) Na północ od Połabia, w Szlezwigu w jeziorze Kudeńskiem są ślady palowych mieszkań. „Palowe budowle w Dąbrowskiem jeziorze, Soldyńskiem i Persyńskiem zawierają w sobie urny o ozdobieniu palowem i o znakach krzyża w koło wpisanego znamiennego dla całej północnej Słowiańszczyzny.“ (Zeit. f. Ethn. II. 27.) bo „naczynia ludu grodziszczów i wsi palowych według tych samych wzorów są robione“ (tamże str. 30.) Wyjaśnienie tego zjawiska które w r. 1871 było dla samego Virchowa zagadką przyszło później. W r. 1875 badając gród przedhistoryczny Sassów, stwierdził uczony niemiecki „wał ziemny na palach zbudowany i to na palach, które już **przedtem** były **zamieszkałe**.

W ten sposób wał grodziszcza nie był wcale naturalnem wzniesieniem, ale cały układ został sztucznie wzniesiony bezpośrednio na dnie jeziora, w czasach kiedy ono nie było łąkami okryte. Co to za olbrzymia praca musiała być włożoną, aby stworzyć tego rodzaju układ. Podobną budowlę znalazłem jak o tem mówiłem 16 maja 1874 w Polzlowie (Palcowo) nad Wkrą (Uchermark). Istnieje więc podobieństwo między Terramare włoskiemi a budowlami północnej Słowiańszczyzny. Z początku sądziłem jedynie, że grodziszcza i budowle palowe były zakładane przez ten sam lud, prawdziwej substrukcji wału grodziszczowego, przez budowle palowe nie przypuszczałem“. (Zeit. f. Ethnol. VII Ver. 130.) Największy nasz historyk sztuki prof. Marjan Sokołowski, w pracy „Ruiny na ostrowie jeziora w Sednicy“ stwierdza rownież podobną przez siebie znalezioną pierwszorzędną pracę inżynierską. „Na ostrowie w Sednicy (Pale-dnicy?) do dziś są widoczne pale dawnych mieszkań i namostowych komunikacyj, a dalej „Grodziszcze“ (raczej „Paliszcze, po żmudzku Pilkallen) Gdecza ma dotychczas wał, który do pewnego stopnia za typowy uważać można, zachowało dotąd właściwą sobie nazwę, i mieści szczątki urn z popiołami. Jak naocznie mieliśmy sposobność się przekonać, grodziszcze gdeckie ma również na spodzie ziemnego nasypu pokład z belek dębowych, jedna obok drugiej poziomo kładzionych i nawzajem klinami spajanych... Te leżeć muszą na pionowo bitych palach, co jest przypuszczalną cechą wszystkich grodziszcz na bagnach i jeziorach“. Takiemi były „grodziszcza na wyspach

w Veltrub (Peltrub?) w Saksonji pruskiej w Silvdorf koło Torgau, na Pomorzu w Bublitz (według prawideł przeróbki niemieckiej, słowiańskich wyrazów *Palbice*). Na Kaszubach, w Rosji wśród wód i moczarów Nowgorodu, we wsi Tołmaczewie koło Kurska i we wsi Litwinowiczach w powiecie Głuchowskim gub. Czernichowskiej, nakoniec tenże sam charakter mają trzy grodziszcza, Piastowskiej Polski, jedno na Śląsku w dzisiejszej *Pilwie*, na zagięciu rzeki Cobry, i dwa drugie znane nam na nizinach Wielkopolski; w Sremie wśród stawów zasilanych wodami Warty i *bagien zalanych kiedyś wodą* i w Gdeczu na moczarach i urodzajnych dziś łąkach, które były jak się zdaje *dnem opadłego jeziora*". (Pam. Akad. Um. III. 126 i 127). Idźmy dalej. Wirchow opisując wykopaliska w budowli Bonin w Liptowskiem jeziorze na Pomorzu znalezione, tak się rozwodzi „Znalazłem ozdoby naczyń grodziszczowych, dalej cegły i czerepy *delikatnie glazurowanej gliny, wiele z piękną barwą glazurową*, jedna ozdobiona *wypukle wykonanym ulem pszczelnym*. Belki były sosnowe a pale i inne kawałki z dębu. W odstępach gdzie ułożenie pali było prostszem, widać było dłuższy chodnik, *widocznie rodzaj ulicy, można też było rozpoznać*, do której się kwadraty palów mniej więcej 8 stóp w kwadracie wynoszące, przyłączały. Jak przy wszystkich pomorskich budowlach palowych, były w ziemię wbite, prostopadle stojące pale, zdaje się nigdzie u górnych końców nie wpuszczane (verzapft), i prawdopodobnie służyły głównie do oznaczania fundamentów. Znalazły się bowiem liczne i na poszczególnych miejscach, bardzo regularnie ułożone, podłużne i poprzeczne belki, które jednak nie na kamieniach jak w Płońskiem jeziorze (Plönersee) tylko jak w *Dąbrowskiem*, w *Persyńskiem* jeziorze, bezpośrednio na dnie były położone. Belki podłużne miały w pobliżu zakończenia kanciaste wycięcia, w które *poprzeczne belki wchodziły. Utworzone tak w wielu pokładach na sobie ułożonych, podłużne i poprzeczne belki, tworzyły dosyć trwałą podwalinę, prawie kwadratowej formy*, która bocznie przez prostopadłe pale była utrzymywaną. W skrzynie te wbijano wielką ilość gałęzi i odpadków drzewnych i drobne kamienie.

Na tak utworzonej podstawie, budowano dopiero chaty. Na pale i belki, o ile mogłem rozpoznać, używano dębiny, była ona z wierzchu nieco zbutwiała, wewnątrz jednak mocna i o ciemnej barwie. Pierścienie roczne miały znaczną grubość. Nietylko wielka część pniów była dokładnie ociosaną, ale też i dolne końce długo i ostro były zakończone, a wykroje dla objęcia belek poprzecznych głęboko i gładko wycięte. Nie było wątpliwości, że obróbka dokonaną została żelaznemi narzędziami. Znalazły się też maczugi z dębowego drzewa wyrznięte, można powiedzieć baby. Te ostatnie miały okrągłą rękojeść 80 ctm. długą a 5 ctm. grubą, która przechodziła bezpośrednio w ściętą kańczastą głowicę, która w przechodniem miejscu ostro była ścięta. Koniec był u niektórych równo okrojony, jakby był oderznięty, u innych jakby ścięty. Ponieważ „linje palowe i poziome tudzież krzyże stemplowe" się znalazły, przeto wnosić należy, że budowla palowa, była osadą stałych mieszkańców, która nawet w wyrazie ornamentyki z innemi znanemi pomorskiemi budowlami zupełnie się zgadza. Połączenie budowli palowej z grodziszczem okrągłem na jeziorze, czyni ten stosunek jeszcze bliższym". (Zeit. f. Ethnol. XIII. 166).

(C. d. n.)

EMMA JELEŃSKA

23)

Z MIŁOŚCI.

Lecz nazajutrz przez cały dzień były różne przeszkody. Zaraz po obiedzie wpadła Znajecka z projektem wspólnej wycieczki na nadchodzącą niedzielę aż do starych ruin zamku. „Pyszny spacer! pełno tam poezji, a nic tak nie usposabia do flirtu, i do apetytu, i do psychologji, i do wszystkiego dobrego. Na nieszczęście, ja nie będę miała z kim flirtować, bo Lutyński nie jedzie. Husło za ciężki na to, a mąż pani, no wiadomo, że nietykalna świętość. Chyba że pan — dodała, zwracając się do Lutka — zechce raz kuzynce dać pokój, i zemną trochę poflirtować. Dobrze?" Ale Lutek, który już na jej widok stracił był humor, przestraszony taką propozycją, odpowiedział coś niewyraźnego i co prędzej wyniósł się do swojego mieszkania.

A gdy zaraz po wyjściu Znajeckiej, przyszła z Korzewa furmanka z wędliną, ptactwem i szparagami, i trzeba było zająć się rozpakowaniem i stosownem pomieszczeniem tych zapasów, a przytem posłańcowi obmyśleć jakiś poczęstunek, całe prawie popołudnie było stracone.

Dopiero pod wieczór, gdy nareszcie wyjść się udało na zwykłą przechadzkę, i gdy Wanda i Lutek znaleźli się za miastem, ona przystąpiła do postanowionej rozmowy.

— Usiadźmy tu Lutku — rzekła, wskazując wysoki brzeg rzeki, nad którą zwieszały się wierzby. — Chciałabym ci coś powiedzieć.

On domyślił się o co chodzi, ale nie zmieszał się bynajmniej. Owszem w oczach zaczęły mu latać płomyki i z uśmiechem położył się u jej nóg na trawie. Wsparłszy głowę na łokciu, patrzał na nią uporczywie.

— Ciekawym co to będzie? — rzekł żartobliwie. — Masz taką srogą minę kuzyneczko, jakbyś mię zamierzała powołać przed Wielką Inkwizycję.

Wanda zaczerwieniła się, i wzrok podnosząc ku dalekim na niebie obłoczkom, rzekła cicho:

— Chciałabym, żebyś wyjechał, Lutku.

— A to ładnie, kuzyneczko! Wyprawiasz mnie?

Ona wzrok oderwała od obłoków i na niego zwróciła. „Chciałabym, żebyś wyjechał" — powtórzyła.

— Ale dlaczego, Elegjo, dlaczego? Bo, moja kuzyneczko — à propos wczorajszego... to doprawdy... czyż za to biednego człowieka wyprawiać? I pomyśl tylko, cóż ja nieszczęśliwy z sobą zrobię?

— Mój Lutku — zaczęła Wanda — bardzo mi przykro i nigdy niczego podobnego spodziewać się nie mogłam. Nie myśl, abym twój wczorajszy postępek brała na serjo — nie wyobrażam sobie wcale, abyś się we mnie kochał. To samoby spotkało w tej chwili każdą kobietę, którąbyś na swej drodze znalazł. Ale to tem gorzej i tem więcej czuję się obrażona. Znaczy się, że mnie traktujesz tak, jak subretkę jakąś, którą się po ciemnych schodach całuje. Bardzo to dla mnie niepochlebne, i nadal narażoną na to być nie chcę.

Znowu odwróciła głowę i podniosła ją ku obłokom. Usta jej drżały.

Była chwila ciszy. Aż on się odezwał poważnym, smutnym głosem: — „A gdybym ci, kuzyneczko, powiedział, że cię zupełnie serjo kocham? Kocham na prawdę — z głębi duszy..." Urwał, i znowu było cicho. A potem mówił zwolna dalej:

— Kocham jak największą świętość, jak marzenie najpiękniejsze. O, wcale nie tak, jak

inne kobiety kochałem! I niema nic w tobie kuzynko, coby mię w zachwyt nie wprawiało: i twoje oczy i twoje włosy i te usta twoje czy w milczeniu, czy w uśmiechu, czy kiedy się trochę roztwierają jak teraz i widać koniuszki twoich zębów, takich białych — i tę boską twą figurę, co to zdaje się płynąć jak łabędź, a taka sprężysta przytem i zwinna, i te twoje ręce — ach, te ręce! Kocham twój głos, twój śmiech i twoją dobroć, kiedy mówisz czasem do mnie: „wstydź się Lutku!“ tak zabawnie, tak poczciwie. I naprawdę, żyć bez ciebie jużbym nie mógł. Ja ciągle, co chwila ciebie potrzebuję. Elegjo — gdy nie jesteśmy razem, to nawet wtedy myśl moja błądzi koło ciebie i obwija się dokoła twojej postaci. To darmo! wypędzić mię już nie możesz, boś mi tak potrzebna jak słońce kwiatu, jak powietrze. Czy nie czujesz tego, że ja tobą tylko żyję, tobą oddycham, że dla mnie życie bez ciebie — to już nie życie, to Bóg wie co — śmierć, ciemność, nicość! Wszak śmierci mojej nie pragniesz, Elegjo, co? A to, co się wczoraj stało — no, to był wypadek. Sam niewiem jak się to stało, tak mnie coś popchnęło ku tobie. A to dlatego, że byłaś tak śliczna, widziana z dołu, z temi kwiatami w ramionach, trochę zarumieniona od zmęczenia, trochę *langoureuse* — z tym półuśmiechem i z tą intonacją taką jakąś... kiedy mówiłaś: „dobrze Lutku?“ Sam święty Antoni by nie wytrzymał — no, i ja nie mogłem wytrzymać. Bo też, przyznać trzeba, że kobieta najbardziej kusząca jest wtedy, gdy po forsownej przechadzce trochę jest zmęczona, trochę rozegrzana, ruchy jej stają się wtedy powolniejsze, trochę ociężałe, wygląda jak gdyby chciała się osunąć, całe jej ciało prosi o poparcie. Nie, nie mogłem wytrzymać! Ale, kuzyneczko, bądź spokojna, już ja się postaram, aby tego więcej nie było. Ale nie wypędzaj mię od siebie. Bo cóż ze mną będzie? pomyśl tylko, ja taki samotny na świecie, gdzież ja się podzieję?

Wanda słuchała. Oparta o pień wierzby, z przymkniętemi oczami słuchała. O, jakże dawno nie słyszała tej muzyki! kiedyś — o, bardzo już dawno — Karol mówił coś podobnego. Ale inaczej, może gwałtowniej, goręcej, ale nie tak miękko, nie tak słodko, nie tak przejmująco. On nie umiał nigdy poruszyć tych właśnie strun jej duszy, które najgłośniej dźwięczały. A Lutek umiał w nią tak dobrze wmawiać, iż mu jest niezbędną. Ach, jak te jego przyciszone, a tęskne, a namiętne słowa głęboko w nią zapadały! Jaką tworzyły dokoła niej lekką, a uroczą harmonję! Jak szeleściły w jej uszach i jak pieściły jej skronie! O, słuchać jeszcze, jeszcze...

Nagle zerwała się na nogi. „Dość! dość!“ zawołała i trwoga odbiła się na jej twarzy.

— Ty, Lutku, nie powinieneś tak do mnie mówić, a ja nie powinnam tego słuchać. Dość!

— Ależ, kuzyneczko — dlaczego? Cóż w tem złego? Przecież ja o nic nie proszę, niczego nie domagam się. Komuż moje słowa mogą krzywdę zrobić? Ty, kuzyneczko, słuchasz ich z przyjemnością, bo każda kobieta lubi być kochaną — nieprawdaż? Przyznaj się. Nie odpowiadasz — więc tak jest, jak mówię. A dla mnie, to taka rozkosz módz ci moją miłość wypowiadać. Nie wzbraniaj mi tej rozkoszy, Elegjo!

— Lutku, nie. Tak nie może być. Ja zamężna jestem i nie powinnam...

Lutek parsknął śmiechem. „Ha, ha — to doskonałe! Więc dlatego żeś zamężna, to ja nie mam prawa mówić, że cię kocham! Ależ, kuzynko moja miła — cóż jedno ma do drugiego? Mąż mężem, a moja miłość, to zupełnie co innego. Co mnie to może obchodzić, że ty masz męża? Ja o nim i wiedzieć nie chcę. Zresztą, przyznaj, kuzynko, że — co do Karola — il est si peu votre mari...“

Wanda spuściła głowę i odeszła w stronę rzeki. Nie umiała, nie miała siły odpowiadać, nie miała siły walczyć. W żyłach swych czuła jakieś błogie ciepło, na skroni jakiś świeży podmuch. Coś dziwnie słodkiego sączyło się jej do serca i tam się rozlewało kojącym balsamem. Być kochaną, być komuś potrzebną, być jego światłością, jego szczęściem, jego dobrym duchem. Wszakże to było marzeniem jej życia! Czyż nie mogło być między nimi czystej, duchowej miłości? I on pewnie innej nie pragnął.

Nie — walczyć nie mogła, odpędzić go nie miała siły.

Wrócili do domu w milczeniu. On czasem tylko brał jej rękę i szeptał cichutko: „Elegjo! kocham... kocham...!“ Było im tak dobrze, iż słów nie czuli potrzeby wymawiać. Ciepły zmrok owijał ich płaszczem melancholji i rzewności. Rzeka w dole szeptała im czułe i smętne wyrazy. Szli razem powolnym krokiem, odurzeni i rozmarzeni.

Stosunki ich ułożyły się wcale dobrze. Właściwie, nic się w nich nie zmieniło. Lutek nie narzucał się, nie był natarczywy, praw sobie nie rościł. Gdy byli sami, mówił o swej miłości, ale w sposób tak poetyczny i oderwany, że można było słuchać spokojnie. Wprawdzie, czasem próbował objąć jej kibić i przyciągnąć ją do siebie, ale to zdarzało się rzadko. I wogóle, Wanda wierzyła stale, że tę ich miłość potrafi utrzymać w sferze wzniosłości i duchowości najczystszej. Innej nie chciała.

Sama też, gdy porównywała swe uczucia dla niego z dawną miłością dla Karola, przekonywała się, że nie kochała się w nim wcale. Lubiła go, a bardziej jeszcze lubiła tę atmosferę drażniącą i ciepłą, którą koło niej roztaczał; tę trochę poezji, którą wlewał w pustkę jej życia; a nadewszystko tę świadomość, że jeszcze jest pożądaną, ponętną, że działa i gra na nerwach jego. Nie znajdowała w nim bynajmniej tego, czego w życiu szukała: zlania się dwóch dusz — gdyż on, o ile swoją własną duszę lubił przed nią godzinami całemi rozkładać i analizować, o tyle duszą jej bardzo mało się zajmował. Ale i to było jej miłem. Tęsknota jej do jakiegokolwiek czynu, do jakiejkolwiek miłości, do jakiegokolwiek macierzyństwa znajdowała ujście w tem, co czyniła dla niego.

I było jej dobrze, o wiele lepiej niż bywało od lat wielu. I letnie dnie schodziły szybko, we względnym spokoju, w błogiem odurzeniu, które wszelką myśl krępowało.

Tymczasem jednak w Karolu zaszła jakaś dziwna zmiana. Zrazu niedostrzegalna prawie, z dniem każdym stawała się wyraźniejszą. On stanowczo szukał, pragnął i dążył do podziału z żoną. Wróciwszy do domu, szedł prosto do jej pokoju i codziennie próbował zawiązać z nią poważniejszą rozmowę. Niepytany mówił, gdzie był, co robił, jakie ma interesy do załatwienia, kogo widział i co słyszał. Tłumaczył plany ułożone w kółku przyjaciół dla podniesienia oświaty, działania na szerokie koła, uspołeczniania i uświadamiania ludu — plany rękodzielniczych zakładów, czytelni, towarzystw gimnastycznych, niedzielnych wykładów, ochronek i szwalni.

Ona słuchała grzecznie, ale obojętnie. To, czego dawniej pragnęła, teraz już nie było jej potrzebne. Myśli jej były gdzieindziej. Miała dla nich pokarm smakowitszy, niż to wszystko, czem ją mąż częstował. Więc uprzejmie, ale zimno przyjmowała jego odwiedziny, a gdy się przeciągały, trochę zniecierpliwienia zaczynało malować się na jej twarzy. On to widział, ale postanowił wytrwać. Postanowił wprowadzić ją w ten świat społecznej pracy i myśli, do którego sam należał a od którego ją niegdyś odsuwał dobrowolnie— przez egoizm, przez lekkomyślność. Zdawało mu się, że dziś, w takiem rozszerzeniu jej myśli i jej działalności, byłby ratunek, że danie jej istnieniu realnego celu a władzom jej bogatej natury wzniosłego ujścia — to byłoby szczęście i spokój ich obojga i połączenie znowu w miłości. Wszakże dawniej sama tego pragnęła, rwała się do tego, tylko bez kierunku nie umiała sama tego stworzyć. Dziś on był gotów ją poprowadzić i kierować, iść z nią ręka w rękę po tej drodze. Czemuż się opierała? Czyżby już było zapóźno?

Postanowił rzecz wyjaśnić. I pewnego dnia dżdżystego, gdy przypuszczał, że Wanda z Lutkiem musiała zaniechać zwykłego spaceru, wrócił wcześnie do domu. Jakoż Lutka nie było. Wanda siedziała sama, z książką na kolanach. Z otwartych drzwi balkonu dochodził miarowy plusk deszczu po liściach drzew i świeży powiew wiatru.

— Czy nie za chłodno?— rzekł Karol, przymykając drzwi balkonu. Przeziębić się możesz.

— Nie chłodno mi — odparła swoim grzecznym głosem. I wstawszy, zbliżyła się do okna. Jak leje! Ale to nie długo potrwa, tam się już trochę rozjaśnia.

— Tak. Jutro pewnie będzie pogoda. Wiatr chmury rozpędza.

Umilkli. Patrzali oboje na zasnuty mgłą świat i czuli, że nadeszła chwila, że coś więcej trzeba sobie powiedzieć nad uwagi o pogodzie. Karol przysunął się, wahał się trochę i objął ją ramieniem. Po jej twarzy przebiegł dreszcz, zacisnął kąciki jej ust, zamrugał jej powiekami i zsunął jej brwi i jakby bólem dotkliwym zaznaczył ją. Ale nie poruszyła się.

— Wando — zaczął cicho, jakby trudno mu było mówić — chciałbym... bardzobym chciał... Możebyś ty się zgodziła wziąć udział w naszej pracy? Mówiłem ci o wszystkiem, co się tu robi, o tych ochronkach, czytelniach i wykładach. W tem pokładamy wielkie nadzieje. To są rzeczy na razie drobne, ale w nich tkwi przy-

szłość. Potrzebni są ludzie dobrej woli, jaknajwięcej rąk do pomocy. Możebyś chciała...?

Ona znowu patrzała na niego zdziwiona. Co mu się stało od niejakiego czasu! Jaki nowy wiatr powiał? Czego on właściwie od niej chciał? Przez ośm lat odsuwał ją systematycznie od wszelkiej poważniejszej myśli — zamykał ją w ciasnym obrębie domowego koła, wszelkie chęci jej, wszelkie porywy krępował i więził i tłumił — traktował ją zawsze jak niedojrzałe stworzenie. A teraz? Co za kaprys nowy?

— Bo nawet, pomijając korzyść jakąbyś mogła przynieść ogółowi — mówił dalej Karol, nie doczekawszy się odpowiedzi — dla ciebie samej, Wando, jakieś poważniejsze, a użyteczne zajęcie byłoby bardzo pożądane. Każdy człowiek potrzebuje mieć jakiś cel w życiu. Gdybyśmy mieli dzieci, cel byłby wytknięty. Ale ich nie mamy. Trzeba więc samej stworzyć sobie cel ten, trzeba rozszerzyć swoje serce i, nie mając naturalnych przywiązań, samej sobie stworzyć nowe.... Zdaje mi się, że niegdyś tęskniłaś do tego, dodał nieśmiało.

Czy to była ironja? On śmiał wspominać o tej tęsknocie! On, który tę tęsknotę wywoływał, wyhodował w niej, a nigdy jej niczem nie ułagodził! On, któremu się oddawała z sercem pełnem pragnień i dzielności i mocy i ognia — a który to wszystko zgasił, zdeptał, który przed nią własnoręcznie i z zupełną świadomością zamknął drzwi do godności człowieczej a zrobił z niej automat — tak, prosty automat, wypełniający obowiązki i funkcje „idealnej żony“. I on śmiał tak mówić! Czy było to urąganie, czy też bezgraniczna naiwność?

Wszystkie nagromadzone latami całemi żale, upokorzenia i zawody wypłynęły z głębin jej duszy na wierzch — i rozlała się w niej gorycz tak ogromna, jak morze. Nie mogła odpowiedzieć. Ale w tej chwili on stał się jej wstrętnym.

Odepchnęła jego ramię, odeszła od niego w głąb pokoju i zakryła sobie twarz rękami.

On westchnął. Ach, czy już nie było zapóźno! Postanowił jednak dotrzeć do dna, spojrzeć twarzą w twarz jej duszy i dowiedzieć się na pewno, czy została jeszcze jakaś nadzieja, czy też wszystko już było stracone?

Poszedł za nią, ujął jej obie ręce i odciągnął je od twarzy. „Wando bądźmy szczerzy — rzekł— od dawna coś jest między nami, coś ci leży na sercu. Nie mówisz nic. A ja wiedzieć o tem muszę — mam obowiązek i prawo.“

Ona dumnie głową rzuciła. „Prawo? Jakie? Ja przy ślubie przysięgałam tylko na wierność, do niej tylko masz prawo. O innych prawach twoich nie słyszałam i słyszeć nie chcę i żadnych ci nie przyznaję — żadnych! żadnych!“

Oczy jej roziskrzyły się jak gwiazdy. Wyrwała mu ręce.

— Wando! Wando! co ci jest? Co ty do mnie cierpisz? co ja tobie złego zrobiłem?

Głos jego zadrżał przy tych słowach. Oparł się o ścianę i w oczach jego okazały się dwie łzy.

— Coś ty mnie złego zrobił! — zawołała — Co? To, co może człowiek człowiekowi zrobić najgorszego! Zabiłeś mnie, zamordowałeś! Codzień mordowałeś po trochu przez tych długich, przez tych nieszczęsnych lat ośm. Codzień wyrywałeś mi jedną illuzję, jedną nadzieję — codzień spychałeś mię niżej i niżej, aż do stanowiska niewolnicy — bezmyślnej, głupiej niewolnicy, na jakiem dziś jestem. Codzień gasiłeś we mi odblaski godności, wszelki zapał, wszelką ochotę do dobrego. I jeszcze pytasz, co ty mnie złego zrobiłeś? Wziąłeś mię rozkochaną, ślepo tobie wierzącą, gotową na wszystko dla ciebie. A po ośmiu latach czem jestem? Mogłeś wszystko ze mnie zrobić — kobietę szczęśliwą, pożyteczną. A co zrobiłeś? Dziś o jednem marzę i do jednego wzdycham — do cichego grobu, gdziebym już przynajmniej do nikogo nie należała, nie słyszała o niczyich prawach, gdziebym już nic nie czuła.

Urwała — odetchnęła. Potok goryczy, tak dawno wzbierający, rwał się na zewnątrz z nieprzepartą siłą.

— Po co ty mnie brałeś? Z miłości? Boże! cóż to jest za miłość, co oprócz pieszczot, nic więcej dać nie umie? i nic też więcej wziąć nie potrzebuje. Prawda, przyznaję — byłeś „idealnym mężem“, nie bałamuciłeś się, dawałeś mi pieniądze, nie robiłeś mi scen i dbałeś o moje zdrowie. Może niejednej toby wystarczyło. Ale mnie nie wystarczyło. Bo ja, jak głupia, marzyłam o porozumieniu się dusz naszych, o wspólności we wszystkiem. Bo ja, naiwna! myślałam, że ty mię oświecisz, pokierujesz i że pójdziemy razem, połączeni, zbratani... Myślałam, że mąż z żoną dzieli się nietylko chlebem i domem, ale i czem innem jeszcze. Mój Boże! po cóż ja o tem marzyłam...

Rozpacz ostrą dłonią targnęła jej wnętrzności, zdawało się, że serce z niej wyrwie. Porwała się za głowę — i przebiegała pokój gwałtownymi krokami.

On stał nieporuszony, o ścianę wsparty. I jego także rozpacz ogarniała, ale cicha, beznadziejna, wżerająca mu się w całą istotę tysiącznymi szponami, wsiąkająca w niego jak trucizna. Z jej ust wyrywały się jeszcze słowa okrutne i smagały go, jak bicze. Ale on już nie czuł i nie słyszał nic. Czuł tylko, że tonie, że pogrąża się w przepaść ciemną, jak noc i że ratunku dla niego niema. Czuł tylko zimno śmiertelne, co go obejmowało od stóp do włosów i gasiło w nim wszelką iskrę życia. Wszystko skończone! szumiało mu w głowie — wszystko skończone!

Nagle ona przed nim się zatrzymała. Twarz jej była pałająca, oczy błyszczały, a usta krzywiły się drwiąco. I zkądże to ci teraz przyszło raptem wzywać mię do pomocy — mnie, odpychaną i lekceważoną przez całych lat ośm? Mnie której nawet nie raczyłeś wtajemniczać — już i, nie mówię w społeczne swe idee, ale w proste pieniężne interesy i trudności, której na zwykłe pytania nie raczyłeś odpowiadać. Zkądże raptem po tylu latach, te względy dla mojego pustego życia? Co ci się stało? Jakaż to łaskawość nagła? Mów — ciekawam bardzo tej nowej kombinacji, wylęgłej w twej męzkiej głowie...

Karol poruszył się. Okropny ból czuł w piersi. Odrzekł powoli: „Wando postaraj się być spokojną, posłuchaj mnie, zrozumiej, że ja twego nieszczęścia nie chciałem. Kochałaś mnię przecie, więc posłuchaj...

Taki był smutek w jego głosie, taki smutek na jego twarzy, iż gniew jej opadł i zgasł. A tylko zostało wzruszenie wielkie nad sobą i nad nim. Widziała, że on cierpi i z jakichś głębokich, zapomnianych kryjówek jej duszy, podniósł się na chwilę nikły, blady cień jej dawnej miłości...

(D. n.)

Z PIŚMIENNICTWA I SZTUKI

KSIĄŻKI. *Czego nas uczą dzieje sztuki.* Taki tytuł ma dzieło Karola Woermana, tłóm. p. Jana Kasprowicza z przedmową dr. Jana Bołoz Antoniewicza, wydane w wydawnictwie Związku naukowego „Wiedza i życie“, nakładem księgarni Altenberga we Lwowie. Wśród dzieł, traktujących o sztuce, rzadko o tak dobrą książkę. Wywołana potrzebą zaprowadzenia jakiegoś ładu w panującym powszechnie chaosie wyobrażeń i postulatów estetycznych, ma ona, jak każda rzecz, wywołana rzeczywistą potrzebą, swoją własną barwę, zupełnie odrębną od dzieł tego zakresu. Przedewszystkiem więc jest w niej sporo pierwiastku rewolucyjnego, buntu przeciwko ogólnikom estetycznym i podkładaniu znaczeń pod słowa, które wobec sztuki nowszej straciły jakoś swoje dawne walory, albo nie są dostatecznie elastyczne, aby w siebie wsiąknąć rzeczy nowe. Świetnem jest następnie to, co autor mówi o sądach współczesnych i potomnych. Świetnem dlatego, że przed oczyma czytelnika przeprowadza spory o sądy ze samym sobą, rzuca sobie pod nogi trudności w formie przykładów i zwalcza je z nadzwyczajną zawziętością. W ten sposób pokazuje on drogę własną, po której doszedł do rezultatów i w książce, właściwie teoretycznej, tworzy się coś, jak gdyby akcja żywa i wzruszająca swoim przebiegiem. Charakteryzować tu szczegół po szczególe nie podobna w króciutkiej notatce; zbyt w tem dużo materjału erudycyjnego. Przesuwa się tu przed wyobraźnią czytelnika mnóstwo dzieł, postaci, sposobów zapatrywań tak, jak je nam przynoszą dzieje sztuki; nie otrzymuje ich się po szkolarsku, lecz słyszy o nich wiele razy, to tu, to tam, stosownie do tego, gdzie w toku myśli nasuwają się autorowi. Dzięki temu poznaje się to wszystko, jakby w życiu to z tej, to z owej strony, nie teoretycznie, lecz jakby w działaniu. I tak dochodzi Woermann do ogólnych motywów i postulatów tworzenia tak, jak one objawiają się w malarstwie najnowszem, które bierze w obronę przed masowem potępieniem. Jako cechę jego, właściwą zresztą także wszyst-

kim lepszym dziełom czasów dawniejszych, wymienia autor rodzimość i jeżeli książka ma jakie jedno stałe kryterjum, to byłoby niem to właśnie. Woermann wierzy, że cecha rodzima musi być w każdem dziele dobrem, bo każdy odtworzy zawsze najlepiej to, co zna najlepiej w szczegółach, jako najbliższe mu i angażujące go osobiście. W myśl tej zasady, wyprowadzając z kierunków dawniejszych nowe, trzyma się osobliwie co do tych ostatnich gruntu niemieckiego, jako znanego mu najlepiej. Ponieważ zaś pierwszy oryginał książki pisanym był jeszcze w roku 1894, więc na końcu znajduje uzupełnienie w formie listu do prof. Bołoz Antoniewicza, w którym Woermann podaje rzeczy i zmiany, jakie zaszły w ciągu tych lat siedmiu w sztuce niemieckiej.

St. W.

SZTUKA. *Karykatura polska.* Ostatni swój zeszyt poświęca „Tygodnik ilustrowany“ humorowi w malarstwie polskiem. Rozpoczyna go pełen ciepła artykuł pióra znanego artysty-malarza p. Henryka Piątkowskiego — o Franciszku Kostrzewskim, którego wyborną podobiznę na stronicy tytułowej daje Antoni Kamieński. Ten sam autor następnie zamieszcza obszerniejszy, szeregiem dobrych reprodukcji ilustrowany artykuł p. t. „Pierwiastek humoru w malarstwie polskiem“, w którym omawia w porządku chronologicznym karykaturzystów polskich, oraz wogóle te dzieła naszych malarzy, które, jako opracowanie tematu, należą do zakresu humorystyki. Rozpoczyna autor od Norblina, który w swoich rodzajowych obrazach i szkicach daje często folgę swobodzie i tworzy sceny charakterystyczne z domieszką pierwiastku humorystycznego („Karczma w Częstochowie“, „Odpust na Bielanach“). Pierwszym atoli karykaturzystą polskim — stwierdza p. P. — był dopiero Orłowski, w którego całym charakterze leżała wybitna cecha satyryczna. W tym kierunku (szereg karykaturalnych wizerunków swych współczesnych) należy on do grona mistrzów tej miary, co Goya Hogarth, Daumier. Drugi uczeń Norblina, Rustem, jest także niewyczerpany w pomysłach humorystycznych (najbardziej popularne były karty do gry jego kompozycji). Pokrewni mu humorem byli dwaj współcześni malarze-amatorzy: Oborski i Sokołowski, jeden z pierwszych, którzy u nas na gorącym uczynku chwytali życie uliczne, oraz mało skądinąd znany artysta Śliwicki, autor rzadkiego obecnie „Albumu karykatur warszawskich“ (znany „famulus“ Żółkowskiego). Humorystami później byli także: Smokowski i Piwarski. Nieposlednim karykaturzystą we właściwem tego słowa znaczeniu był nasz wielki Michałowski, który w Warszawie latach 1824 do 1831 stworzył szereg typów karykaturalnych znanych osobistości, dziś ogromnie rzadkich. Niezwykle utalentowanym karykaturzystą o goyowskiem zacięciu był poeta Cyprjan Norwid. Przed laty 30 w epoce rozpowszechnienia pism obrazkowych humorystyka przenosi się wyłącznie do ilustracji („Miotełki“, „Wolne żarty“, „Kurjer świąteczny“, „Kolce“, „Szczutek“, „Mucha“, nawet „Kłosy“ i „Tygodnik ilustrowany“). Wtedy pojawiają się rysunki humorystyczne rozmaitych artystów, jak Kunicki, Pillati, Rudzki, J. Kossak, a przedewszystkiem Kostrzewski! Ze współczesnych karykaturzystów wymienić należy: Rosena, Leutza, K. Górskiego, A. Gawińskiego, Noskowskiego, Nowodworskiego... Pierwiastek humorystyczny tkwi zresztą w dziełach wielu dawniejszych i późniejszych malarzy, jak Pęczarski, Polkowski, Kotsis, Szermentowski, Kozakiewicz, Streitt, Moniuszko, a także Löffler, Andriolli, nawet Chełmoński i Malczewski. Świetne karykatury tworzyli przygodnie także Matejko i Grottger („Piekło“, „Szkice humorystyczne“).

Co do Kostrzewskiego, to z wielką słusznością pisze o nim p. P., że karykaturzystą nie był on nigdy, co mu jednak nie przeszkodziło wyrobić się na najznakomitszego naszego humorystę. Humor tego artysty leży jedynie w anegdocie. Przedstawiciel swej epoki, Kostrzewski, nie wnikał nigdy w zewnętrzną stronę natury z głębokością, do której przyzwyczaili nas malarze realiści. Największą jego zaletą jest rdzenna swojskość i samodzielność wolna od jakiegokolwiek wpływu. Oryginalność jego tkwi w nucie czysto narodowej, jako historjograf jednak swoich czasów jest on zupełnie płytki. Jako artysta-plastyk należy on już zupełnie do przeszłości — i aby ją właściwie osądzić, twórczość jego musimy umieścić we właściwem miejscu, na tle współczesnej mu epoki. Zresztą malarstwo było dla Kostrzewskiego tylko środkiem, nigdy zaś celem. Jest on gawędziarzem, twórcą anegdot, nawet dowcipów i, aby je wypowiadać posługuje się pendzlem lub ołówkiem. Nie będąc nigdy karykaturzystą, przechodzi w swych utworach całą skalę humoru, od dosadnej charakterystyki, aż do szarży. Twórczość jego przytem oparta jest na optymistycznym, zawsze pogodnym światopoglądzie, na ironicznej, czasami satyrycznej a najczęściej dobrodusznie poczciwej obserwacji typów i charakterów ludzkich. Należał on do rzadko spotykanego gatunku artysty, którego ogół od pierwszych jego kroków rozumiał i kochał. Był typem przeciętności. W dziejach sztuki i kultury polskiej, a specjalnie warszawskiej, zachowa jednak na zawsze miejsce zaszczytne, jako artysta wybitny, jak na swą epokę — i jako zasłużony obywatel swej ojczyzny.

A. C.

Z Drukarni Udziałowej we Lwowie, ul. Lindego 8